



3 Czerwca 1911 r.

DZIAŁ DLA DZIECI.

Nr. 22.

WĘGIELEK.



Przyszedł na świat w małej, walącej się chatce, a jego pan był żebrakiem. Gdy podrośł, zamieszkivali we dwóch izdebkę i byli dla siebie jedynymi przyjaciółmi. Co rano wychodzili na zarobek i dzielili się uproszonym chlebem. „Węgielek” lubił najbardziej, jeżeli ich dobrzy ludzie chlebem obdarzyli, bo wtedy nie był głodny. Pieniądze szły na wódkę i tyle tylko miał z nich korzyści, że gdy „Stary” pił w karczmie, „Węgielek” dostawał czasem kość od kogoś z jeżdżących, albo udawało mu się porwać kawałek kiełbasy. O pogoń nie dbał, miał cztery nogi, a szynkarz tylko dwie; zresztą był bardzo przebiegły i umiał się zawsze wykręcić z kłopotu.

Nałogu swojego pana ani nie pochwalał, ani nie lubił. Nie pochwalał, a nawet pogardzał nim, bo nie mógł zrozumieć, jak można za pieniądze kupować wodę, która jest w każdej kałuży, jeśli można kupić kiełbasy! „Węgielek” był bardzo mądry i wiedział doskonale, jak się kupuje. Bardzo to była prosta robotą, trudniejsza dla psa, bo nie mając ręki i nie umiejąc okropnej pieśni (na której wspomnienie nawet „Węgielek” wył boleśnie), nie można dostać pieniędzy, a zatem niema za co kupować.

„Węgielek“ może w duchu przyznawał, że trudno byłoby mu bez swojego pana wyżyć. Czasem oznajmiał mu to nawet głośno i wyraźnie, choć, mówiąc nawiasem, szkoda było fatygi, bo ludzie nie rozumieją psiej mowy, choć psy wy-

bornie rozumieją ludzi; „Węgielek“ pogardzał więc rodzajem ludzkim, tylko swojemu panu nie miał tego niedołęstwa tak bardzo za złe, wobec zalet jego serca.

— Cenniejszy jest charakter, niż rozum—myślał nieraz. I miał w tem zupełną słuszność.

— Nie piłybyś, stary przyjacielu—rzekł raz „Węgielek“, gdy mu się zdawało, iż żebrak jest w usposobieniu podatny do przyjęcia rozsądnej rady.—Och! gdybyś ty zrozumiał mowę psią! Byłbyś już bogatym człowiekiem, a nawet mógłbyś zakupić cały stragan z wędlinami.

Przy tych słowach oblizął się z apetytem i machnął ogonem.

— Będziesz ty cicho!—krzyknął żebrak, nie rozumiejąc szczekania, i zamierzył się kijem.

Dobre to były czasy. „Węgielek“ żył sobie wygodnie, i zawsze dobrze wspominał swego pana w późniejszym życiu. Bardzo było ładnie ze strony pieska, że sumiennie oceniał zasługi „Starego“.

— Nietylko pomaga mi w wyszukiwaniu jedzenia—myślał nieraz, stojąc godzinami pod kościołem na ścieżce cmentarnej—ale własnym przykładem wpoił we mnie za młodu wiele z tych cnót, które dzisiaj posiadam. Przedewszystkiem nauczył mnie



miłości bliźniego. Jest dla mnie tak dobry, że musiałbym być podłym, albo niewdzięcznikiem, żeby nie okazywać dobrego serca jemu i innym ludziom. Nie mówię o psach; każdy pies sam sobie może radzić; ale ludzie tak często potrzebują pomocy, ach tak często!—Tutaj zamyślił się szlachetny piesek i ziewnął; filozofowanie nużyło go trochę, szczególnie w upalne dnie. To też położył się wygodnie na słońcu, rozciągnął wszystkie cztery łapki, rzucił okiem, czy „Stary“ nie dostał od kogo chleba i smacznie zasnął.

Widzicie stąd, że prowadził cnotliwe, ale i bardzo miłe życie.

— Marnotrawstwo pociąga za sobą złe skutki — mówił „Węgielek“ często swojemu panu. I miał rację zupełną. Zła woda (jak słusznie wódkę nazywał) doprowadziła żebraka do śmierci. Umarł, osierocając biednego „Węgielka“. Nawet w tak ważnej chwili nie okazał żadnej przezorności, i nie zwracał żadnej uwagi na dziwną, żółtą postać, która stanęła w oknie chaty i kiwała na niego palcem. „Węgielek“ był właśnie w progu, przez otwarte drzwi widział „Starego“ wyciągniętego na słomie.

— Patrz w okno! — ostrzegał piesek i warknął głośno na żółtą postać, która nie ruszała się od okna.

Starzec nie odwrócił się od ściany, tylko jęknął boleśnie.

— Pójdiesz stąd!? — zaszczekał piesek, ale i tym razem bezskutecznie.

— Nie podoba mi się ta dziwna osoba — myślał — muszę ją odpędzić.

Bał się jej, więc skulony, najeżony, siedział na progu i wył coraz głośniejsze, coraz okropniejsze, aż ze znużenia usnął. Nic dziwnego, że biedny „Węgielek“ bał się żółtej postaci i chciał ją odpędzić, była to bowiem śmierć.

Gdy się obudził, nie miał już pana. Stygnące zwłoki leżały wyciągnięte na słomie i „Węgielek“ od razu poznał, że stało się coś dziwnego.

Jakże rozpaczał biedny samotnik! Wył całymi nocami, a we dnie warczał ponuro, gdy się kto zbliżył do „Starego“. Nie pomogło to jednak. Wkrótce jacyś ludzie zabrali ciało, włożyli w skrzynię i zakopali do ziemi.

Wszystko to rozgoryczyło bardzo „Węgielka“.

— Gdy kto niema sił, każdy z nim robi, co mu się podoba — myślał piesek. — O, czemuż mój pan już się nie obudził! We dwóch dalibyśmy rady tym ludziom. Ja sam jestem za mały; nikt mnie nie chce słuchać. Jacy ludzie podli!

Tak rozmyślając, położył się na grobie żebraka i postanowił nie ruszać się stąd, choćby go odpędzali. Nikt go jednak nie odpędzał. Jakiś człowiek rzucił mu kawałek chleba, którego „Węgielek“ nie tknął; a potem wszyscy, którzy brali udział w pogrzebie, a było ich bardzo niewielu, wrócili do domu.

Ludzie, przechodząc koło cmentarza, żegnali się ze zgrozą, tak strasznie jakiś pies wył dniami i nocami; a nie wiedzieli czy w tem niema „siły nieczystej“.

Był to tylko nasz „Węgielek“, który zrozumieć nie mógł, dlaczego pan go zupełnie opuścił? Na cmentarzu nic nie miał do roboty, mógł więc spokojnie rozmyślać całemi godzinami.



— Jestem jeszcze młody; kto wie, co mnie w życiu czeka. Może znajdę pana, a może dam sobie sam rady—myślał i zabrał się do pogardzonego z żalu chleba;—muszę nabrać sił. Jakiż wybory ten chleb! — Tu stracił wątek myśli, bo cały zatopił się w gryzieniu!

Po najedzeniu się, wróciła mu chęć do życia. Postanowił wrócić do chaty, zamierzał zamieszkać w niej jakiś czas, a dopiero później pomyśleć o wyszukaniu nowego pana.

Na pożegnanie obwąchał grób żebraka i, wyjął, pobiegł do chaty.

Tutaj spotkało go pierwsze z przykrych rozczarowań, które odtąd miały mu na każdym kroku życie zatruwać. Drzwi chaty zastał zamknięte! Położył się w progu, licząc na to, że gdy kto wyjdzie z chaty, albo wejdzie do niej, wślizgnie się za nim i położy na słomie.

Napróżno czekał dzień i noc i znowu dzień. Czasem tylko odchodził, aby poszukać jedzenia, bo głód dokuczał mu bardzo. Zresztą wytrwale leżał pod progiem,—nikt nie otworzył drzwi.

Wreszcie stracił cierpliwość.

— Jeszcze tę noc tu przeleżę — myślał, przybierając wygodniejszą pozycję.—Jutro znowu muszę wyruszyć w świat.

I tak też zrobił.

(d. c. n.).



Szczęśliwy człowiek.

Dzieciny moje, dzieciutki drogie!

Nieraz słyszycie i wiecie,

Że życie ludzkie ciężkie i srogie,

Że niema szczęścia na świecie.

Prawda to w części, wiedz je-

[dnak dziatwo,

Że przecie w mocy człowieka

Schwycić to szczęście, osiąść

[je łatwo,

Choć ono zda się ucieka.

Że i szczęśliwym tu na tej ziemi

Każdziutki człowiek być może.

Niech tylko serce na miłość

[zmieni

W najpierwszej życia swej porze,

Ukocha Boga i ludzkość całą

Nic w zamian nie chcąc dla się-

[bie,

A wtedy szczęście będzie mu

[siało

Kwiaty, uśmiechy, jak w niebie...

Nie zechce on już dostatków

[sławy,

Zaszczytów, złota nie ceni,

Bo skarb już posiadał jedynie

[prawy,

Którego na nic nie zmienia!

Bo kto swe serce bliżnim w ofie-

[rze

Odda, swą pracę im wniesie—

Ten w duszę spokój niebiański

[bierze;

Szczęśliwym człowiek ten zwie

[się!

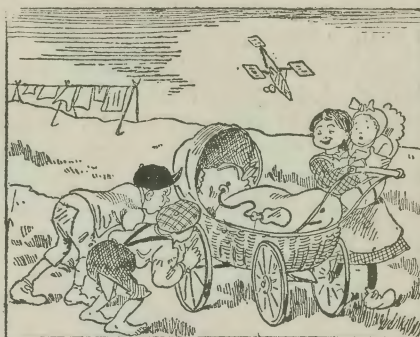
Świerszcz.

Wesoły obrazek.

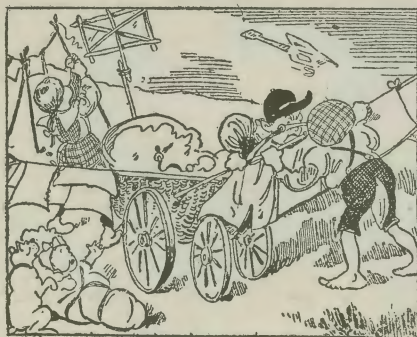
Samolot.



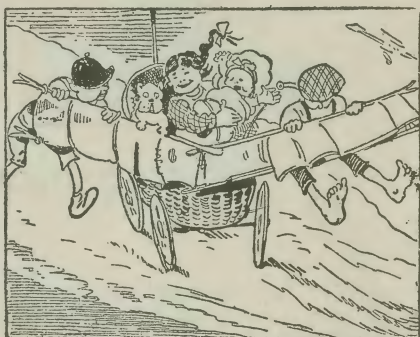
1.



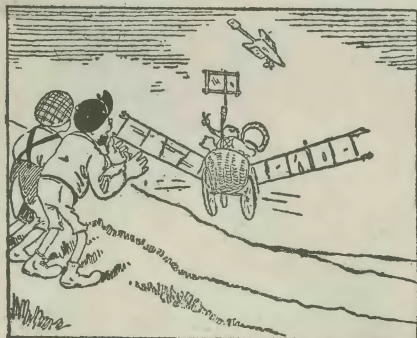
2.



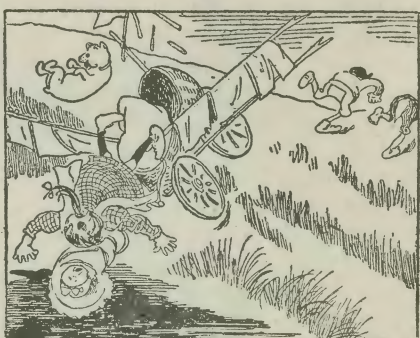
3.



4.



5.



6.

Patrz wiersz na stronie 175.

Samolot.

— Patrzcie! O! patrzcie! — wołają dzieci,
Jak tam wysoko samolot leci:
Żeby tak skrzydła i nam wyrosły,
Toby nas także w niebo poniosły!...
Wzdychają chłopcy — dziewczynka wzdycha —
A każde plany układa zcicha.
Nagle najstarszy Zdziś się odzywa,
Bo myśl mu przysła bardzo szczęśliwa:
— Weźmy bieliznę, co się tu suszy,
Na skrzydła mamy płótno i tyczki,
A do rozpędu wózek siostrzycki...
Na jego kółkach samolot ruszy...

* * *

W niedługą chwilę samolot gotów.
Gotowe dzieci do śmiałych wzlotów.
W głębi wóeczka usiadła Mania
Krzyżując Józję ręką osłania;
Pies usiadł obok, a z boku wiszą
Dwaj braciszkwowie, choć ledwie dyszą.
Puścili wózek i pędem jadą
Po stromem zboczu, z wielką paradą;
A jadąc zgodnie bez żadnej sprzeczki
Już dojeżdżali do samej rzeczki...
Ale tam chłopcy — nieszczęścia trzeba! —
Zamiast na skrzydłach frunąć do nieba,
Spadli na ziemię, a wózek w pędzie
Poza wybrzeża runął krawędzie!
Mania, pies, Józia — kompania cała
W wodzie się zimnej z głową skąpała,
A braciszkwowie — gdy to spostrzegli,
Zamiast ratować — do domu zbiegli!...
Tak z samolotem pochód zwycięski.
Stał się powodem niezwyklej klęski...

M. G.

